

Zaledwie dwa lata przedtem.

Step zamknięty w swoim pokoju, chodzi tam i z powrotem i próbuje powtarzać jakieś zadanie z chemii. Zatrzymuje się, podpira nad stołem, przegląda zeszyt z notatkami. Nic z tego. Te formuły uparcie nie wchodzą mu do głowy.

Nieoczekiwanie, z ostatniego piętra domu naprzeciw, Battisti wysoko i głośno zaczyna śpiewać *Powracasz w mej pamięci piękna jak zawsze...* Szczęściarz, bo w mojej pamięci nic się trzyma, a chemii nie cierpię. Widząc, że mu chcą zafundować całą płytę, otwiera okno i wychyla się na zewnątrz.

- Ej, tam! Nie możecie ciszej?

Powoli muzyka przycicha. Kretyni. Step powraca do stołu i skupia się na chemii.

- Stefano... - Step się odwraca. Jego matka jest przed nim. Ma na sobie brązowe futro z ostrymi odcieniami bieli i złota. Brązowa spódnica zakrywa wspaniałe nogi w delikatnych, doskonale naciągniętych pończochach, smukłe stopy w eleganckich, ciemnobrązowych pantoflach. - Wychodzę, potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję, mamo.

- Dobrze, zatem widzimy się wieczorem. Gdyby dzwonił ojciec, powiedz, że musiałam z papierami, o których wie, pójść do naszego konsultanta.

- Jasne.

Matka podchodzi i całuje go miękko w policzek. Jej długie, czarne włosy przyjemnie pachną. Step sądzi, że zapach jest trochę za silny. Postanawia jednak nie mówić jej o tym. A kiedy patrzy, jak wychodzi, rozumie, że dobrze zrobił. Jest perfekcyjna. Jego matka się nie myli. Nawet w sposobie używania perfum. Pod ramieniem trzyma torebkę, ofiarowaną jej przez niego i brata. Paolo niemal w całości pokrył rachunek, ale to on ją wybrał, tam, w tym sklepie na Cola di Rienzo, przed którym matka zatrzymywała się wiele razy, ale wciąż była niezdecydowana.

- Jesteś prawdziwym znawcą - szepnęła mu do ucha, wkładając torebkę pod pachę. Przeszła się jak modelka, demonstracyjnie kołysząc biodrami. - No, jak mi z nią?

Wszyscy zareagowali z rozbawieniem. Ale ona chciała usłyszeć opinię tylko swojego „prawdziwego znawcy”.

- Jesteś przepiękna, mamo.

Step wraca do swojego pokoju. Słyszy, jak drzwi w kuchni zamykają się. Kiedy sprezentowali jej tę torebkę? Na Boże Narodzenie czy na jej urodziny? Pomyślał, że teraz robi najlepiej, wkuwając chemiczne wzory.

Trochę później. Była już prawie siódma. Pozostawały mu tylko trzy stroniczki, żeby przygotować zadanie. Wtedy to się stało, Battisti znowu zaczął śpiewać. Z przymkniętego okna na ostatnim piętrze domu naprzeciw. Głośniej niż przedtem.

Natarczywie. Prowokująco. Bez szacunku dla nikogo i niczego. Dla niego, który się uczy i nie może pójść na siłownię. Tego już za wiele.

Step chwycił klucze do mieszkania i wybiega z domu, trzaskając drzwiami. Przeskakuje przez ulicę i wchodzi do bramy domu naprzeciw. Winda jest zajęta. Wspina się po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Dość, on już tego nie znieś. Nie, Battisti jest w porządku. Ale nie w ten sposób. Wchodzi na ostatnie piętro. W tej samej chwili winda się otwiera i wychodzi z niej goniec z jakimś opakowaniem w ręku. Jest pierwszy przy drzwiach. Sprawdza nazwisko na tabliczce i dzwoni. Step oddycha ciężko i staje obok. Goniec zerka na niego z zaciekawieniem. Step uśmiecha się do niego i zwraca uwagę na to opakowanie w ręku gońca. Ma firmowy napis: Antonini. Pewnie te słynne kanapki. Oni też je zamawiają każdej niedzieli. Są wszelkiego rodzaju. Z łososiem, z kawiozem, z owocami morza. Jego matka przepada za nimi.

- Kto tam?

- Antonini. Przyniosłem zamówione tartinki, proszę pana.

Step uśmiecha się do siebie. Odgadł, może tamten, przepraszając, poczęstuje go. Drzwi się otwierają. Pojawia się młody mężczyzna koło trzydziestki. Jest w niedopiętej koszuli i w bokserkach. Poślaniec chce przekazać mu zamówienie, ale kiedy tamten spostrzeżę Stępa, rzuca się natychmiast do drzwi, próbując je zatrzęsnąć. Step nie rozumie, ale instynktownie wysuwu nogę, by drzwi się nie zamknęły. Chłopiec z kanapkami cofa się, żeby utrzymać w równowadze tacę, a Step, z twarzą przyściśniętą do chłodnego, ciemnego drewna, widzi w szparze ją. Torebka l < na fotelu obok futra. Nieoczekiwanie przypomina sobie: tę torebkę podarowali jej z bratem na Boże Narodzenie. Wściekłość i rozpacz, niedowierzanie i wstyd. Czuje, że eksploduje. Uderza w drzwi, a drzwiami w gospodarza, przewracając go na ziemię. Z furią wpada do salonu. I jego oczy wolałyby być ślepe raczej, niż zobaczyć to, co ujrzęły. Drzwi do sypialni są otwarte, a tam, wśród skotłowanych prześcieradeł, z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, zupełnie innym niż ten, który znał i widział tysiące razy, leży ona. Spokojnie zapala właśnie papierosa. Wtedy ich oczy spotykają się. I w jednej chwili coś w nich pęka, coś gaśnie na zawsze. I nawet ta ostatnia pępowina miłości zostaje zerwana i oboje, patrząc na siebie, krzyczą w milczeniu, płaczą gwałtownie wezbranymi łzami. On się wycofuje wreszcie, a ona zostaje tam, w łóżku, bez słowa, spopielając się jak przed chwilą zapalony papieros. Płonąc z miłości do niego, z nienawiści do siebie i do tamtego, do tej sytuacji (...)

Zagnieździło się w nim coś złego. Jakaś bestia, jakieś okrutne zwierzę znalazło sobie norę gdzieś za jego sercem, gotowe wychylić się na zewnątrz, gdy tylko pojawi się

okazja, by uderzyć ze złością lub kąsać wściekle: pomiot cierpienia i zniszczonej miłości. Od tamtej chwili przebywanie w domu było już niemożliwe. Milczenie i ukradkowe spojrzenia. Żadnej wymiany uśmiechów, zwłaszcza z osobą dotąd najbardziej kochaną.